N^er 25.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 2 grudnia 1843. **Rok czwarty.**

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincii dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcii pod nrem 301., we Lwowie.

MODY.

Paryż, dnia 18 listopada 1843.

Stroje damskie. Niebawem zajmą wyłącznie uwagę modnego świata stroje balowe, bo ustronia wiejskie coraz pustsze się stają, a coraz ludniejsza stolica; i na piękne zaczynają przemyśliwać nad otwarciem salonów. Tymczasem zwracają dziś jeszcze uwagę główną stroje od wyjścia i takowe tu wymieniamy. Oto na przykład dwie suknie z *pou-de-soie*. Pierwsza popielatoperłowa ozdobiona w sposób fartuszka, dwoma lekko zmarszczonemi wolancikami; stanik wpółwysoki; obcisły, z zaokrąglonym końcem, z maleńkim kołnierzem w sposobie peleryny, z przodu otwarty; rękawy wschodnie, ozdobione czterma wolancikami, z których dwa formują żokeje, a dwa są poniżej łokcia, rękawki wreszcie muszlinowe w rurki. Druga z materii *pou-de-soie* gładkiej, ozdobiona rodzajem pasamonów, zwanych korunki weneckie; ze spodnicą u dołu bardzo szeroką, a stanikiem kończastym; środkiem spodnicy idzie siedm dużych spinek z żołędziami. Stanik jest wysoki, obcisły z potrójnym szwem; mała peleryna wykładana z przodu i nie sięgająca niżej ramionczek, w koło korunkami weneckiemi ozdobiona. Trzy spinki podobnie jak u spodnicy znajdują się w kierunku szwa średniego, a bogate pasamony służą za ozdobę rękawów w guście wschodnim.

Płaszczyki są nieodbicie potrzebne do stroju od wyjścia. Widzimy je tu w różnym guście. Płaszczyki tak zwane kanoniczek, są bardzo szerokie i wygodne. Innego znowu rodzaju są płaszczyki polskie: krój ich odsłania wydatność figury w sposób bardzo powabny, a brzegi bramowane są szerokiemi ukosami axamitnemi. Jest też rodzaj płaszczyków kaszmirowych najczęściej popielatego koloru, zaokrąglony z tyłu a kończasto z przodu spadający, wyłożony dokoła szeroką taśmą z zielonego axamitu tak wkoło małego kołnierza jako i połów, a powyżej tej taśmy gałązką liści haftowanych jedwabiem, w takichże samych odcieniach jak axamit.

Strój ranny jak w ogólności wszystkie ubrania prościuchne składają się zwykle z powszedniej pelisy. Do stroju wystawniejszego służyć może płaszcz z wełnianego pekinu, a nawet płaszcz axamitny.

Na ubranie zaś przepyszne, i na tak zwane wielkie tualety, potrzebna jest kamela axamitna, futrem podszyta.

Kapelusz bardzo gustowny jakiego model właśnieśmy dopiero wiedzieli, był z axamitu niebieskiego, ozdobiony kwiatami, lub też trzema piórami tegoż samego koloru co i kapelusz. Inny był z axamitu zielonego, podobnież ozdobiony. Znowu inny granatowego koloru: formę miał niską, a zdobiło go pióro rajskiego ptaka.

Rycina przedstawia: suknię z kaszmiru haftowaną, mantyla futrem obłożona; druga suknię jedwabną, kapelusz axamitny; trzecia płaszczyk axamitny.

Stroje męskie. Między modnemi strojami jakie się na tę zimę w Paryżu pokazały ściągnęły uwagę dwa następujące, które są wynalazkiem mistrza krawieckiego: Bernarda. Jeden z nich nazwany został przez swego wynalazcę po prostu: niedźwiedź. Robi się z materii ciepłej, gęstej a miękkiej, i jakkolwiek należy do strojów dandysowskich, formą swoją podobny jest potrosze do zwierzęcia, którego miano w dziale mu się dostało. Jest koloru popielatego, wpadającego w białawy lub rudy. Podszywa się materią jedwabną takiegoż koloru bez waty, kołnierz i wyłogi dobierają się z podobnegoż axamitu. Drugi jestto strój bogaty z sukna bardzo

cienkiego niebieskiego lub złocistobronzowego, kołnierz, wyłogi i klapy axamitne; podszyty materią jedwabną i watowany najczęściej. Forma jego podobna do surduta. Modnisie paryscy robią uwagę że niepodobna jest pojąć doskonalej wymagań tak zwanych *fashionabl'ów* co do stroju pierwszego, a bogaczów co do ostatniego.

Frak na rycinie dzisiejszej przedstawiony różni się wycięciem połów od fraków dawniejszych; druga figura ma surdut angielski z peleryną.

MODNIARKA MAŁEGO MIASTECZKA.

przez

Dominika Magnuszewskiego.

Dokończenie.

Kilka tygodni ubiegło nimem się zgłosił po czypeczki. Idę na dawnę siedzibę, niema tej pani, mieszkanie pustką, bo nietrafiło się jeszcze właścicielowi równe tamtemu ubóstwo, coby ten kącik spragnęło. Szczęście wygnało ztąd tę ubożuchnę rodzinę, bo znać jak zostawiono słomy w tapczanie, kędy się dzieciaki tuliły na noc. Nawet okruszyny bułek zalegały w niej, mysz bowiem tam nie zagościła, niespodziewając takich specjałów. Strzępki petinety i tiulu zawalały podłogę, wypalona głęboka dziura od świecy w prostym stole, co za lichtarz służyła, oznaczały napływ robót; praca więc moja niedaremna. Wracam do miasta i pytam gdzie p. Olszeska. Gdzie? zakrzyknęła moja kupcowa z tym tonem, jakbym popełnił najgrubszą niewiadomość, jakgdybym się pytał gdzie Lwów? — Gdzie? cożto pan nie wie, taż to lada bachur pokaże, pani Olszeska tam w rynku na pierwszem piętrze; ona tak ślicznie robi, wszystkie panie z miasta, wszystkie panie ze wsi przesadzają, a posyłają za tą modniarką. Zatem pani Olszeska, mierząc krzyki mojej kupcowej, była w całem tego słowa znaczeniu okrzyczaną, doskonałą modniarką.

Ciekawy widok uderzył mię wchodzącego w nową siedzibę, na pierwszem piętrze. Wysoki a szczupły pokój opatrzony zelaznym małym piecykiem, z obustron zastawiły szafy świeże, ze sklannemi do połowy oknyma, jeszcze nieobrzucone farbą a w nich mnóstwo drewnianych form, formek, i głowa drewniana. Sama pani otoczona kilku szlafroczkowemi kobiecinami, dzierząc w dwoch paluszkach czypeczek filipikowała krój, wstążkę i potężnie kapiące szlarki u tego arcydzieła swych nożyczek. Mała jej dziatwa zawisła u kolan; główki ich wymaszczone połyskiwały złotym włosem, równie jak podbródki i buziaki świecące od pchanego w usta chleba z masłem. Najstarszy chłopaczek zyskał jasnoniebieski surducik, w którym mnie i za dziesięć lat jeszczeby było do twarzy i do miary, Minka jej figlarna z pod oczka podśmiechająca, cale zwrócono była ku jakiemuś jegomości, który niedaleko od pieca palił fajeczkę na krótkim prostym cybuszku. Malec wsadziwszy paluszek w gębę, zacisnął pięścią i udawał sobie fajeczkę, spluwając gdy ta figura spluwała, krzywiąc się i małpując doskonale ruchy pękatego, niskiego oryginału. Roześmiałem się głośno, ten śmiech zbudził dopiero panią Olszeskę z exaltacii czypkowej i wykrzykuęła »a! pan dobrodziej« — ale w tym głosie już było trochę pańskości, cedzenia, owej niechęci obdarzonego ku obdarzającemu, jaką miłość własna, bądź co bądź, wciska nam w serca. Niby zakłopotana, przypominająca sobie niby, szukała mi stołka, nareszcie »ha czypeczki pańskie już dawno gotowe, jeszcze przeszłego tygodnia, skorom się sprowadziła; mężu podaj! »na ten rozkaz poruszyła się owa pękata figurka, i pocztyliońskiem chodem zatupotała pod szafkę.

Uważnie rozglądnąłem tego pana męża, jestto albowiem typ tutejszy prowincionalny któregom indziej nienapotkał. Ubior, chód, postawa, charakterystyczne wszystko. Pani Olszeska udawała się za wdowę, prawie nią była, będąc ubogą i zapomnianą od losu; lecz skoro wziętość rozsławiła jej imię, przywędrował i mąż, jak bocian do ciepła. Wprawdzie nie byłem na ślubie tych państwa, ale jednak wierzyć przez grzeczność wypada, że go prawnie mężem zwała.

Jasnozłocisty kaftan z bai przestrono opasował jegomościa z różowym nosem, załamanym nieszpetnie; ręka gruba i silna z przyzwyczajenia stanu swego, dzierzyła mocno spleciony harapnik i opadała z nim za tył, a postać gruba, kołysała się w tej postawie na rozczepierzonych nogach, jak zwykła na koniu koło stada wołów. Żółta pikowa kamizelka w czerwone kwiatki, wznosiła się pod dołek, nie mogąc okolić poważnego żołądka, więcej jak widać rozlanego piwem, niż wypasionego. Wieczne nankinowe szare spodnie, zachodziły w czerwone buty juchtowe, dobrze nałojowane. Twarz okrągła z czarnemi na wierzch wyszczerzonemi oczyma, zdobił wyraz nawyczki do hukania »hoj — da — hoj« włos czarny krótki tuż przy głowie skręcony, świadczył rodowość: nosa i oliwkowatej cery.

Podany przez niego oglądałem czypeczek i jak naturalnie, chwaliłem; lecz już moje pochwały były powszednim chlebem u pani Olszeskiej; uśmiechem jej

władała pewność o sobie co tak psuje postęp, co szpeci twarz zarówno artysty jak niewieścią; cały ten błysk ciekawy jaki zwykle upromienia lice pracującego sztukmistrza, gdy jego pomysłowi przygląda się znawcy uwaga, ten strzał oka migotny ale badawczy, ten rumieniec wreszcie za którym jak za obłokiem chowa mu się w twarzy, zdobyta w końcu pochwała, przekwitły już u naszej modniarki. Nabrała przyzwoitego tonu (jak mówią) w swym fachu; była grzeczną stosownie: to jest stosownie do twego ubrania, do liczby obstalunku; w mowie jej jakieś cedzenie słówek, jakieś ziewanie dawały niby poznawać że ta pani poczyna się nudzić w małym obrębie tego miasteczka, bywała snać już w S*** i to w artystycznym zamiarze, dla widzenia ostatniej mody, zawarcia związków magazynowych; miały jej nadchodzić i ubiory najświeższe i zręczniejszych robotnic grono. Po tych okolicznościach snadno było poznać iż życie jej przychodziło do przekwitu, i jak zwykle przywiodło z sobą orszak: niesmaku, zarozumienia, chęci czegoś więcej jak się jest, owej pańskości która nawet w małych bytach się budzi, a którą najlepiej zdefiniowaćby można »wyglądaniem za okno niewiedzieć czego.«

Siadłem na uboczu, przypatrywać się tym dwom Olszeskim jakie poznałem. Owa biedna z zatyłka żydowskiej ulicy, tak czuła z drobną dziatwą swoją, tak skrzętna z każdym kawałkiem tiulu, muszlinu, wstążki; matka i sługa, pani i wyrobnica, brzydka twarz z piękną łzą w oku, tak promienna szczęściem gdy parę bułeczek swoim biedaczkom zanieść mogła; dzierzgnęła mi się nagle, w panią Olszeskę, pierwszopiątrową mieszkankę, panię kilku szaf ze stroikami, potrącającą dziećmi, odpychającą dziewczynkę swoją, anioła blondynkę, aby ją niezatłuściła, krzyczącą na kilka biednych dziewcząt, które tym skromniej siedziały, im każde poruszenie ich zdradzało nędzę; ale ta nędza litością: brak pończoszki na zczerwienionej od zimna nodze, klapiącego obuwia, lub pokutniczej prawię koszulki, która swą grubością darła nielitościwie białe ciałko szyjącej. Co użyczyła czułego i porywającego bieda, to zdarł z tej postaci niewieściej, dostatek, a odsłonił całą nieokrzesaność, brzydotę, że ledwie nie powiem, charakter jaskrawy tej kobiety. Nieludzkość i trącanie wieczne w ubożuchne położenie swych szwaczek, raniły mnie mocno w tej pani, boć przecież było się taką niezdawna, a w sercu, o którem ma się coś dobrego trzymać, winna być pamięć owocna, a łza nad swoją niedolą niezdala od cudzej nędzy padać powinna. I wyszedłem, bo mi się skrzywiło pojęcie dobrego i chęci dla ludzkości, ledwie żem niezażądał biedy, i biedy ogólnej aby lepszymi byli ludzie, ledwie nie błagałem aby ta macocha przeszła z swoim biczem pomiędzy nimi, by potym uściskali się jak bracia, wspierali się i płakali jak sieroty; czując ból, możeby snadnie nad bolem drugich litość ich zdjęła.

Zchodząc ciemnemi schody poszturkało mnie kilka służących wdzierających się na nie do modniarki, głosy ich rozmawiały po omacku.

— Hafijko!

— A ja!

— I twoja tam będzie?

— A ja!

— Toż będą hulać sobie.

— A ja!

— A, my sobie; u Mortka będą grajki i Szymek.

— A ja!

— Będziecie Hafijko?

— A ja!

Wieczne »a ja!« byłato sobie puculowata, czerwonawa Rusinka od pani A**, a ciekawa pytająca od pani C**. Zabawa ino gdzieś u sąsiada pomyślałem, wynosząc się z moim nosem bezpiecznie od napaści rąk tych ichmościanek, szukających pociemku poręczy; gdy w tym ruch niezwyczajny w ulicach miasteczka, i jeszcze kilka służących w dom modniarki wpadających ciekawie mnie zagabało. W istocie byłto rodzaj balu publicznego już od kilku tygodni rozgadanego, a jak sobie teraz przypomniałem na który i kilką sąsiedztw naszych ułożyło się zjechać: jeszcze i ta okoliczność nie byłaby mnie uderzyła, gdyby nie rozmowa dwojga czarnych salopek idących przedemną.

Było błoto, o czem na początku zapomniałem powiedzieć, bo u nas w K*** jest to stan normalny ulicy, więc o tem zapomniałem; idąc za temi paniami na palcach, podsłuchując ich rozmowy i coś świecącego wziąwszy za kamień, stąpnąłem silniej i obryzgałem błotem moje przewodniczki. Aj! aj! i zwrociły się na mnie dwie gniewne twarzyczki. Pani A** przyjemnej blondynki, i z pięknem czarnem okiem i włosem pani C**; przeprosiłem zmieszany i zadowolony razem iż zchwytałem ciekawości nitkę która mnie z życiem modniarki wskaże nieznanę mi ubocz i przejście. Bom przeczuł iż wieczór ten stanowczo wpłynie na przyszłość modniarki miasteczka. Zazdrość kobiet miejskich poufała jej swą broń: stroik, chcąc przeciwniczkom cisnąć w oczy tryumfem, chlubą: i my takie! — Na wiele wyszła pani Olszeska, gdy jej zręczono to wotum zaufania kobiecego. Ale ów bal będzie marmurem probierczym, pierwszą

sesią parlamentową, w której większość ma swój głos objawić, obaczymy jak się wypoci nasza modniarka, daj jej tylko panie boże na zdrowię.

Szczęściem jakieś odwidziny w mieście, przymusiły mię tą razą wziąść z sobą frak na bryczkę, więc mogłem balować. Wcześniem pospieszył, ażeby nie stracić najmniejszego odcienia w tej walce czypkowej, gdzie los kobiety, i jej drobnej dziatwy i całego mienia przyszłości, stawiono gorzej jak na kartę, bo na jedno rzucenie ócz, na jedno śmianie, na jedno widzimisię. Przy mnie poczęły się pompatyczne wejścia dam miejscowych, ale te jeszcze miały krój familijnego zebrania, całowano się, ściskano, głośne szczebiotnie z wielkiem zadowoleniem, z swoich ubiorów chwalono się, nie powiem szczerze, ale grzecznie a i to wiele choć i na małem miasteczku. Materialne i niematerialne panie (proszę bardzo tego słowa nie brać w filozoficznem znaczeniu, ani półstroju Safiroskich żarcików) kołowały sobie po sali czekając zadęcia walca; gdy z trzaskiem weszły i moje dwie podsłuchane na ulicy piękności. Po ogólnym wszystkich obecnych rzucie ku nim i witaniu, poznałem iż nie tylko rej, ale rodzaj udziału w ich walce, bierze cała miejscowość. Przeważne blondynami czypce więcej jak opasywały ich czoła; róże, lewkonie, i jaskrawa pożyczka z czerwonym gronem sadowiły się na tych lekkich główkach i tkankach; dank im oddała cała powszechność, szczególniej młodzież, rzekłbyś że się rozbudził na widok kwiatów rój motyli, który dotąd pracowicie applikował koło materialnych ichmościów. Jeden więc obóz gotowy, mężny, śmiały, już rozbił swoje namioty, a czeka nieprzyjaciela tak ciekawie, że każdy ruch drzwi, każde zagadnienie mocniejsze mężczyzn, piękne główki zawraca do wschodu, jakgdyby w tem ciemnem miejscu stała chmura z której piorun ma zapalić ich blondynowe upięcie. Naraz słychać śmiechy na schodach, kilka męskich głosów basuje tej melodii, trzask drzwi w ciemnym przedpokoju; zsuwają się salopy, dolatują do sali chichotne: *merci! merci!* chmura się pełni, bieleje, szarzy jak przed burzą, grzmot... i błyskawicę białych sukień, i lic białych wystrzelił piorun na salę.

O! pierwszy raz w życiu żałowałem żeście tak ładne, przyjaciółki moje! strój wasz lekki a zgrabny, porwał oczy wszystkich obecnych, nawet chwili wahania, nawet mgnienia ócz od was ku tamtemu obozowi najtwardszy wielbiciel nieuczynił. Ledwo znaczne upięcie głów blondyną od czoła, a cały warkocz wolny od zasłony siatkowej, kazał wielbić, i strojność niby, i piękność włosów odsłaniał. Kwiat, ale kwiat naturalny pieścił się gdzieniegdzie to w kruczym splocie, to w białej rączce tancerki. Była chwila takiej ciszy, takiej woni, jakby wiosna z rezedą i fiołkami zstąpiła pomiędzy ziemian, by im poskoki umilić. Smutno spusciły główkę Olszeskiej czypeczki, ino brunetka, owa salopka z peleryną, spojrzała raz w blondynę, ale tem okiem w którem były całe odpowiedzi na rozmowę uliczną: lekki chrzęst zaciśniętych ząbków, ledwo dał cicho przemknąć słowa »przeklęta modniarka!« kamieniowi nie słowu, bo na ubożuchne życie padnie to słowo, jak odjęcie honoru młodzieńcowi, jak potwarz na białą młodość panienki. — Muzyka, szał walcowy, śmiech, gwar mężczyzn zawtórowały temu wyrokowi nieszczęścia; czułem rwanie się zpod serca zawiedzionej mieszczanki, syczących słówek, które miały w każdym sklepie, w każdem gronie poufnym zabijać wziętość modniarki. — Bieda znow zajdzie pod twe okienka, niebogo! ale cięższa, bo prowadzona za rękę nienawiścią. — Opuściłem zabawę, bo i ciekawość mnie opuściła.

* * *

Trzy miesiące upłynęło od owej zabawy: wiatr marcowy kłębił śniegami i dawał czuć całą ostrość zimy pomimo opalonego pokoju w którym rozkoszowałem siedząc koło pieca.

Ktoś zaskrobał do drzwi, nieśmiało ruszył klamką, może on jaki — może od serca... potrzebny chleba i soli; skoczyłem otworzyć, i dobrzem zrobił, bo mała zziębła chłopczyna wsunęła mi się w pokoik: twarzyczka obmarzła, zczerwieniona wiatrem; oczka łez pełne, wilgotne, rączki i nogi zmartwałe, skołowaciałe od zimna; trzęsła się biedota, tak słabe było odzienie. Długo niepoznawałem malca, nareszcie ów niebieski surducik, minka choć rzewna, przecież śmiałem rzuceniem przetartego oczka przypominająca figlarność, przywołała mi wszystko w pamięć. Co porabiasz? skąd? poco w takie zimno? pytałem dziecka.

— W K*** mama umiera; i rozpłakała się chłopczyna.

Trudno oprzeć się takiemu żalowi, pocieszyć trudno, bo i śmieszna po matce pocieszać; po przyjacielu mówią znajdziesz drugiego, po kochance wyrośnie druga, niektórym i po żonie nachodzi się druga, choć mnie to dziwna i niepojęta; ale kogom zdybał na życiu sierotą, ten się zwał zawsze sierotą.

Rozegrzawszy biedaczka ruszyliśmy czemprędzej do miasta; ruch sanek, ciepłe utulenie bawiło chłopczynę, ciekawie na drogę spoglądał jakby mu ona

nowością była, wynajdował tysiączne rzeczy, zadziwu i uśmiechu; jak szczerem było serce jego dziecinne, jak nawet szczerym obrazem każdego człowieka: że niby jakaś siedziała przy nim opieka, i że coś innego miało zajść w malutkiem tem życiu, już myśl ważyła nad smutkiem, ciekawość nad niedolą; dopiero blizkość miasta, sposępniła go; już odtąd syn się w nim odezwał.

Przychodzim na to same pierwszopiątrowe mieszkanie, oh! jakże smutna nędza w schyłku życia, — o! niemówcie: ja umieram, więc nic nie potrzebuję, wyście nieumierali. Inaczej do mnie odezwała się nędza ustami umierającej Olszeskiej. Panie! ja mam dzieci a umierać muszę, jam biedna a umierać muszę; tyle żyć koło niej, drobnych, wołających »chleba mamo!« — Ale tu wszystko rozebrane, rozniesione najmniejsze półki z szafek, najbiedniejszy sprzęt zabrany; ino słoma na ziemi: posłanie dzieci i konającej. — A mąż? — pytam, niebogo?

— Nie miał na tytoń, więc odjechał w służbę, uciekł.

— A przyjaciółki?

— Niestało roboty, pogniewały się i poszły.

— Jakże? — przecież grosz zebrany, miałaś pani czas jakiś wzięcie?

— A dzieci, odpowiedziała cicho; panie wszak to marznie w zimie, a drzewo drogie. Bóg mnie dotknął, panie miejskie opuściły, wygnały pracę moją; czas jakiś, jakiś tydzień nieczułam tego, ale wkrótce jedliśmy bez masła tydzień, znów było się bez soli, dalej sam chleb panie, dzieci płakały a mnie ustały ręce, bom samem praniem kiedyś niekiedyś zarobiła grajcar dla nich. Teraz już i chleba niema — i nic, bo nawet balię i konewkę zabrał gospodarz za czynsz tygodniowy, bom słaba ruszyć ztąd nie mogła. Mnie się może dziś wszystko skończy; ale dzieci....

I już niemówiła więcej, zalały łzy, zakrztusiła piersiami, zajęczała i po niej; ręce jej tylko lecąc konwulsyjnie chwytały ku sobie dzieciaki, jak ptaszyna raniona strzałem, tak pada na swoje gniazdo, i roztoczy nad pisklęciem ostatnim ruchem swe skrzydła.

Drzwi ciekawie uchyliły się raz i drugi, — »kto tam?« krzyknąłem, chcąc ratunku. Wyjrzał żydek — »Ny to ja, może pan wielmożny co ma jej płacić, to mnieby wolał zapłacić, bo jeszcze mi winna pare grajcarów ta szachrajka.«

Otoż i mowa po pogrzebie nad biednem ciałem modniarki; szlochanie dzieci było ostatnim pacierzem za jej duszę, tam jeszcze głód był może czulszym jak żałość.

N O W Y

UTWOR DRAMATYCZNY
JÓZEFA KORZENIOWSKIEGO

Jestto komedia w jednym akcie pod napisem: Fabrykant; jeden z lżejszych płodów tego autora. Wystawia on w nim właściciela wioski (Józefa Żalickiego) człowieka poczciwego z gruntu i z najlepszemi chęciami, który zaprzątniony myślą podźwignienia industrii krajowej, która ani jego majątkowi, ani okolicznościom miejscowym nieodpowiada, tak się w niej zatopił, że i gospodarstwo zaniedbuje, i w długi brnie, i jakoś coraz niby obojętniejszym się robi dla żony, którą kochał, i dzieci których wychowaniem przedewszystkiem zająć się był powinien. Brat żony jego Henryk, po czteroletnim pobycie swoim w Berlinie, do dom wracając dowiaduję się o wszystkiem, i w drodze jeszcze układa plan, jakby i szwagierkowi dać nauczkę, i wydźwignąć siostrę swoją, z przykrego położenia. Za przyczynieniem się siostry swojej i siostry szwagra swojego Kazimiry a swej narzeczonej, udaje się wybornie intryga Henrykowi. Tak wyleczony zostaje z swej manii fabrykacijnej poczciwy ale nieopatrzny i cokolwiek miłością własną zbałamucony, marzyciel.

Tych kilka szczegółów, nieobawiamy się napomknąć o nowym Korzeniowskiego utworze, bo pewni jesteśmy że autor samym jeszcze rozwojem dramatycznym tyle umie obudzić zajęcia, że dramat jego choćby nawet całkowicie był znany z treści, z prawdziwą przyjemnością widziany będzie w teatrze. A w tem cośmy tu powiedzieli, jest tylko lekka skazówka a nie wyłuszczenie intrygi. Poblicznosć zostająca na prowincii, dowie się zapewne z przyjemnością choć cokolwiek o ważniejszych zjawiskach sceny lwowskiej; a bliżsi pospieszą tem ochotniej widzieć w przedstawieniu to, co widzenia jest godnem. Oto naprzykład, jak autor rozwija główniejszy pomysł tej sztuki.

JÓZEF ŻALICKI.

Po kilkokrotnem proszeniu żony aby przyszedł na kawę, odrywa się raz przecie ad fabryki: zbłocony i ochlapany terpentyną ledwie że się oczyścił, siada przy żonie.

Coż Anuleczku! niepocałujesz mnie?

A N N A.

Gniewam się.

J Ó Z E F.

Jeszcześmy sobie nie powiedzieli dobry dzień.

A N N A.

Właśnie dla tego gniewam się.

JÓZEF.

Czy myślisz że ja cię niekocham dlatego, że się zrywam z pościeli ze świtem i idę pilnować roboty? że siedzę tam nad kowalem, żeby niczego nie zepsuł? że pilnuję rymarza żeby nieukradł sukna i skóry? dla kogoż ja to wszystko robię jeżeli nie dla was? Czyż to zamiłowanie industrii która jest teraz wielką sprężyną Europy, ma mię pozbawić twojej miłości? *Anna patrzy na niego z rozczuleniem.* Mój ty aniołku! czytam w twoich oczach co czujesz, co myślisz. O szczęśliwy mąż dla którego żona po kilku latach pożycia ma jeszcze takie wejrzenie. *(całuje jej rękę).* Pamiętasz jakeś spojrzała na mnie wtenczas kiedym raz pierwszy ośmielił się rękę twoją ścisnąć, kiedym potym coraz bardziej ośmielony.... *Ekonom wchodzi.*

SCENA CZWARTA.

EKONOM.

Proszę pana, kowal chce koniecznie żelaza na rychwy, a u mnie już niema ani kawałka.

JÓZEF.

Masz tam asan pług daj mu pare lemieszów, w nich żelazo dobre.

EKONOM.

Ale wielmożny panie! czemże będziemy orać?

JÓZEF.

Jeszcze do orania daleko; tymczasem się kupi. Idź asan. *Ekonom ruszając ramionami wychodzi.*

KAZIMIRA.

Dawniej ojcowie nasi w potrzebie kraju przekowywali lemiesze na oręże; a my na rychwy. Wiek industrii!

JÓZEF.

Nie żartuj sobie; do tego idzie że oręże przyjdą na lemiesze, na śruby i rożnego rodzaju resory.

KAZIMIRA.

Może to być; ale wówczas każdy będzie pilnował jednego: rolnik roli, karetnik karet, kowal młota, literat xiążki.

JÓZEF.

Alboż teżaz nietak?

KAZIMIRA.

Żniwa skończyłeś?

JÓZEF.

Otoż nieprzyszło mi, spytać się ekonoma.

ANNA.

A widzisz złapała cię.

JÓZEF.

Dlatego jesteśmy goli, że tylko tego jednego pługa pilnujemy wszyscy.

KAZIMIRA.

Ojcowie nasi nie byli goli. Jeździli w danglowskich powozach; a sami sieli hreczkę. Nie ganię ja przedsiewzięć przemysłowych; ale przemysł powinien przynosić zysk, nie stratę.

JÓZEF.

Alboż ja tracę? Ba! ba! obaczysz co mi jarmark tegoroczny przyniesie.

ANNA.

A przeszłoroczny? Józiu!

JÓZEF.

Przeszłoroczny nie udał mi się. Ależbo nawieźli ze wszystkich kątów powozów tak, że do kupca niemożna się było docisnąć. A przytem nie miałem jeszcze kupieckiego doświadczenia. Za każdą lekcię, moje życie! trzeba zapłacić: albo zdrowiem, albo pokojem duszy, albo kieszenią. Taki jest porządek rzeczy. Teraz już wiem jak sobie radzić.

KAZIMIRA.

A zboże płaciło, a niemiałeś co przedać.

JÓZEF.

A dajbo mi pokój z tem zbożem.

ANNA.

Siądźno tu przy mnie Józiu! chcę ci co powiedzić.

JÓZEF *siada i obejmuje ją.*

Co? moja złota Anulku! żebyś ty wiedziała jakie mi słodkie czasy przypomina to słowo: siądź tu przy mnie. Tylko w tenczas jeszcze mówiłaś: siądź tu przy mnie. Ja drżałem od szczęścia, kiedym przy tobie siadał, kiedym pomyślał że przynajmniej sukienki twojej dotknę ręką. Cała moja dusza.... *Ekonom wchodzi.*

SCENA PIĄTA.

EKONOM.

Lakiernik pyta się czy pan każe i na piastach robić żółte paseczki jakie porobił na sprychach.

JÓZEF *zrywa się.*

Czy porobił?

EKONOM.

Porobił.

JÓZEF.

I żółte?

EKONOM.

Żółte.

JÓZEF.

Ażeby diabli bałwana wzięli! Mówiłem żeby gładko.... *wychodzi.*

KZIMIRA *śmieje się.*

Otoż o co oparła się powódź małżeńskiej czułości: o żółte paseczki. Z resztą to i dobrze, bo ja tych romansów między małżonkami bardzo nie lubię.

ANNA.

Jak mój brat przyjedzie, i uda mi się was połączyć, to obaczymy.

KAZIMIRA.

Nieobaczycie, ręczę.

ANNA.

Bo ty nie bardzo kochasz mego brata.

KAZIMIRA.

Jakże chcesz żebym go tak bardzo kochała, kiedy go prawie nie znam. Wyjechał za granicę młodziutkim chłopaczkiem kiedym ja miała ledwie rok pietnasty. Wprawdzie dopomina się on ciągle o moją rękę, ale jak wróci, kto wie czy ja podobam się jemu, a on mnie?

ANNA.

Niech cię bóg broni, żeby ci się niepodobał. Płakałabym i wieczny żal miałabym do ciebie.

KAZIMIRA.

A jeżeli i on przywiezie z zagranicy jaką industrię, gniewaj się nie gniewaj, ale w tenczas jak cię kocham nie pójdę. Smutno żonie z fabrykantem, mam na tobie przykład.

ANNA.

Bardzo wątpię, chyba będzie fabrykantem xiążek.

KAZIMIRA.

O! to i w takim razie nie pójdę.

ANNA.

Wymyślaj, wymyślaj, to zostaniesz starą panną.

KAZIMIRA.

Wolę. (*Walenty wchodzi z listami*)

SCENA SZÓSTA.

ANNA.

Skądże to?

WALENTY.

Ten od pana marszałka do pana, a ten do pani, ale kazano oddać tak, aby pan nie widział.

ANNA.

Cożto znowu za sekreta?

WALENTY.

Albo ja wiem?

ANNA

To ręka mojego szwagra; odnieśże panu (*Walenty odchodzi*) A to od Henryka. Dlaczegoż sekret? (*rozpieczętowuje*) Ach Kaziuniu! mój brat wrócił. O co za radość! Wkrótce będzie tu. Słuchaj Kaziu! (*czyta*) »Droga Anulku! Wyjechałem od was jak smyczek; wracam jak basetla, takem się wypasł. Zdrów jednak jestem i wesoł chociażem się może postarzał i utył. Cieszę się jak dziecko że widzę wasze twarze, słyszę wasz głos, patrzę na wasze łany, wasze lasy, oddycham waszem powietrzem« Poczciwy Henryczek, jak on nas kocha!

KAZIMIRA.

Ale czytajże dalej.

ANNA.

Aha! ciekawość czy niema czego o tobie?

KAZIMIRA.

Wcale nie.

ANNA.

Wcale nie? to źle, ja chcę żebyś była ciekawą, żeby cię to interesowało.

KAZIMIRA.

No ciekawam, czytaj.

ANNA (*czyta*)

»Jednak wśród tej radości zmartwiłem się moja droga Anulku! mówią żeś ty niebardzo szczęśliwa« Ktoż to mówi? Kto śmie tak kłamać? Otoż szczęśliwa jestem, bardzo szczęśliwa. Cożto za klęska ci nieproszeni protektorowie!

KAZIMIRA.

Ale czytajże o co idzie?

ANNA (*czyta*)

»Słyszę twój Józef zrobił się zupełnym fabrykantem. Zaniedbuje ciebie, dzieci, zaniedbuje gospodarstwo, traci pieniądze i zaciąga długi na koczyki i na powozki, których nikt niechce kupować.«

KAZIMIRA.

A coż? to prawda!

ANNA.

Coż prawda? co komu do tego? kiedy ja się nie skarżę.

KAZIMIRA.

Ale coż dalej?

ANNA (*czyta*)

»Chcę mu dać maleńką naukę i wyleczyć go troche z tej ogarniającej nas koczobrykowej manii.

KAZIMIRA.

Sprawiedliwie. Widać że pan Henryk tą manią nie zarażony. Kto wie, może ja mu i nie odmówię.

ANNA (*czyta*)

»Otoż proszę cię moja Anuleczko! niemów nic mężowi żem wrócił. Cokolwiek zobaczysz niezadziwiaj się; jeżeli się domyślisz, udawaj że nic nie wiesz. Do widzenia się bardzo prędko. Całuję cię z serca.« Coż to takiego? ja nierozumiem.

KAZIMIRA.

A o mnie nic?

ANNA.

Nic.

KAZIMIRA.

Ładnie! ale przewróćże, może tam jeszcze co jest.

ANNA.

A mówiłaś żeś nie ciekawa.

KAZIMIRA.

To nie przewracaj.

ANNA

Kocham cię za ten gniew. Słuchajże teraz (*czyta*). »A coż robi panna Kazimira? czy pamięta jeszcze o mnie? Daruj mnie Anuleczku! ale muszę ci się przyznać że ledwie nie bardziej pragnę ją widzieć niż ciebie. Niepokazuj jednak tego przypisku, jeśli o mnie zapomniała.«

KAZIMIRA (*uradowana.*)

Komponujesz; tam pewne nie tak napisano.

ANNA.

Czytaj sama. Ale co to on myśli zrobić? Żeby tylko nic takiego, coby było przykrem mężowi; bo na to niepozwolę.

KAZIMIRA.

Możesz się tego lękać od Henryka?

ANNA.

Więc już go bronisz? No, chwała bogu! Ale cicho! mój mąż idzie. Zchowaj list.

Tu następuje wyborna scena, w której Henryk dowiedziawszy się że ktoś wypytywał się we Lwowie o powóz z jego fabryki, cieszy się jak dziecko, i roi sobie bóg wie nieco na tej pogłosce. Ale zostawiając te piękności do przedstawienia scenicznego, kończymy przytoczeniem tu sceny następującej. (*Pokój w domu pana Żalickiego. Okna otwarte na ogród. Wychodzi panna Kazimira*).

KAZIMIRA (*sama wygląda przez okno*)

Zdawało mi się, że poszedł do ogrodu. Co teżto za nieznośna rzecz że go niemogę obaczyć jakim jest w rzeczy samej. Pod tą peruką, za temi wąsami i bakenbardami, zupełnie nic nie widać. (*Staje przed zwierciadłem, i poprawia włosy.*) Musi być przystojny. Oczy bardzo ładne, i pełne wyrazu. Tak mi się chciało wczoraj pomówić z nim o czemkolwiek porządnem; ani sposobu. Mój brat zachwycony jego pochwałami ani go chciał odstąpić.

SCENA CZTERNASTA.

HENRYK (*wchodzi bez puruki i wąsów*)

Panno Kazimiro!

KAZIMIRA.

Ach! czyż się godzi mnie tak przestraszać?

HENRYK.

Także straszny w mojej naturalnej postawie?

KAZIMIRA (*pogląda nań ukradkiem*)

Nie dlatego żebyś pan był strasznym. Nie! ja tego nie mówię. Aleś pan tak niespodzianie mię zawołał.

HENRYK.

Pozwólże mi pani teraz powiedzieć sobie dobry dzień.

KAZIMIRA (*podając mu rękę którą on przytrzymuje*)
Ja już pana widziałam dzisiaj.

HENRYK.
W peruce i z brodą. Czyż mi tak było lepiej?

KAZIMIRA.
Nie! tego nie powiem.

HENRYK.
Droga panno Kazimiro! pani wczoraj mówiłaś że jutro. To jutro już przyszło. Mogęż mieć nadzieję?

KAZIMIRA.
Wszak się komedia wasza jeszcze nieskończyła.

HENRYK.
To co teraz mówię, do komedii nie należy. Jestto prożba serio, szczera, pochodząca z serca przejętego przywiązaniem i szacunkiem dla pani.

KAZIMIRA.
Więc to będzie dramat poważny. Pan przybrałeś ton uroczysty.

HENRYK.
Możeż być coś uroczystszego jak moja prożba?

KAZIMIRA.
Do prawdy niewiem co panu odpowiedzić. Czy pan zna pana Kazimierza?

HENRYK.
Znam. Wiem żeś mu pani odmówiła.

KAZIMIRA.
Coż pan z tego wnosi?

HENRYK (*całując ją w rękę.*)
Droga panno Kazimiro! więc to dla mojej miłości?

KAZIMIRA.
Otoż widzisz pan że nie. Ale on Kazimierz i ja Kazimira. Jabym go powołała Kaziu; a on mnie Kaziu. I sludzyby śmieliby się z nas. Chciałam więc uniknąć tej śmieszności; nic więcej.

HENRYK (*ściska jej rękę.*)
I pani kochałaś go?

KAZIMIRA.
Czyż to z tego wypada? Nie kochałam go.

HENRYK.
Więc pani kogo innego kochasz?

KAZIMIRA.
I to także nie wniosek. Kto pana takiej logiki nauczył?

HENRYK.
Męczysz mnie pani

KAZIMIRA.
To idźże już pan, idź, bo wam się nie uda komedia.

HENRYK.
Ja chcę odpowiedzi panny Kazimiry.

KAZIMIRA.
Po obiedzie. Idź pan doprawdy. Anusia zaraz jedzie. Tylko się nie bawcie żeby się ta farsa czem tragicznem nie skończyła.

HENRYK.
Czemże? Chyba że mi Józef boki wyłata, że mu uwożę żonę.

KAZIMIRA.
Strzeż się pan doprawdy, on gorączka.

HENRYK.
Czyż to panię interesuje żeby mi się co złego nie stało?

KAZIMIRA.
Mnie to interesuje ażeby mój brat głupstwa nie zrobił, któregoby potym żałował.

HENRYK.
A gdyby mnie kto wybił, zabił, zastrzelił, tobyto pani niebyło przykro.

KAZIMIRA (*filuternie*)
Nie wiem.

HENRYK.
Bądźże pani zdrowa.

KAZIMIRA
Do widzenia się panie Henryku!

HENRYK (*odchodzi i wraca*)
Panno Kazimiro! więc po obiedzie?

KAZIMIRA.
A może aż jutro.

HENRYK.
O ja niechcę.

KAZIMIRA (*podaje mu obie ręce.*)
No teraz teraz; ale idź już pan.

HENRYK (*całuje z uniesieniem jej ręce.*)
Więc moja? jakżem szczęśliwy! (*wychodzi.*)

KAZIMIRA (*sama*)
Zatem stało się! (*zamyśla się*) Zdaje się że to powinno być dobrze. Zresztą wszystko w ręku opatrzności.

Miło nam jest przy tej sposobności zawiadomić szanowną publiczność że tak komodia Fabrykant z którejeśmy drobny wyjątek tu umieścili, jako też czteroaktowa i na wielki zakrój wypracowana komedia Żydzi na którą już od dawna zwróciliśmy byli uwagę, a która dla różnych przeszkód przedstawiona dotąd niebyła, będą, jak się spodziewamy, wkrótce przedstawione na naszej widowni niezawodnie i zapewne w wysokim stopniu zadowolenie widzów zyskają

Teatr.

Z upragnieniem od dawna oczekiwana Jp. Emilia Mejer, już raz były członek teatru tutejszego, przybyła z Warszawy napowrót w mury naszej stolicy. Wystąpienia tej artystki na scenie naszej tak poprzednicze jako też i dnia 8 listopada t. r. w Antonim i Antosiu zjednały jej rzęsiste oklaski, któremi ją publiczność nasza za każdym razem po tylekroć opsypała, i przeto dała dowód powszechnego jej uwielbienia.

Przy kończącym się czwartym roku mego dziennika, czuje obowiązek złożyć najszczersze podziekowanie wszystkim panom prenumeratorom, którzy wchodząc w myśl przedsiębierstwa mojego, zaszczycili mię swą prenumeratą. — To właśnie jest dla podpisanego przedsiębiercy wielką zachętą; czując bowiem że usiłowania moje nietylko publiczności przydać się mogą, ale już jaki taki odnoszą skutek w istocie, przyłożę i na dal wszelkiego starania aby mój dziennik jeżeli nieprzewyższył, to przynajmniej zrównał najlepszym pismom tego rodzaju tak w kraju jak i zagranicą; ufając przytem że ta publiczność pod której opieką przedsiębierstwo moje pierwszy wzrost wzięło, nieopuści je zapewne w tedy kiedy już na pewnej stopie stanęło, i jeżeli nie inne, to przynajmniej tę widoczną przynosi korzyść, że każdy prędku i dokładnie dowiedzić się może w swoim języku o przedmiotach gustu i sztuki, zwłaszcza gdy język francuski niekażdemu jest dostępny, a znaczna część wychodzących dawniej na obce żurnale pieniędzy w kraju zostaje.

Upraszam tedy łaskawych opiekunów moich, aby się wcześnie z przedpłatą na rok 1844 zgłosić raczyli, a to nie poźniej jak w ostatnich dniach miesiąca grudnia t. r. albowiem tyle tylko egzemplarzy tłoczyć się będzie, ile się zgłosi zaliczających. — Tegoroczna prenumerata kończy się z numerem następnym, to jest 26. — Prenumerować można w głównym lwowskim pocztamcie, i we wszystkich krajowych, tudzież w redakcii samej pod liczbą 301 przy placu Ferdynanda. — Cena prenumeraty jest ta sama jak w roku przeszłym, i znajduje się wyszczególniona w każdym numerze dziennika zaraz na początku pod tytułem.

Lwów dnia 2 grudnia 1843.

Tomasz Kulczycki.

Redaktor TOMASZ KULCZYCKI. CZCIONKAMI PIOTRA PILLERA.